

MICHAŁ OCHNIK

ZIMNA



SPIS TREŚCI

| | |
|---------------|-----|
| Prolog | 3 |
| Rozdział I | 7 |
| Rozdział II | 28 |
| Rozdział III | 75 |
| Rozdział IV | 100 |
| Rozdział V | 122 |
| Rozdział VI | 162 |
| Rozdział VII | 189 |
| Rozdział VIII | 216 |
| Rozdział IX | 247 |
| Rozdział X | 268 |
| Rozdział XI | 295 |
| Rozdział XII | 316 |
| Rozdział XIII | 338 |
| Epilog | 370 |

PROLOG

Rok później

Pani Johansen miała nadzwyczaj lekki sen. Potrafił ją zbudzić najlżejszy bodaj szmer, najdrobniejsza zmiana w ustalonym rytmie dźwięków otoczenia. Podejrzewała, że to kwestia podeszłego wieku – przez te wszystkie lata wsłuchiwała się w najdrobniejsze odgłosy, jakie wydawało jej niewielkie mieszkanie, i doskonale rozróżniała każdy z nich. Umiała poznać skrzypnięcie obłuzowanej deski w podłodze, zgrzytnięcie klucza w zamku, srebrzysty odgłos zastawy stołowej układanej na stole. Czasami wydawało się jej, że to miejsce do niej przemawia – językiem szumu czajnika, dźwięku krzesła odsuwanego od stołu, tajemniczego chrobotu w północnej ścianie salonu, którego źródła nigdy nie zdołała dociec, tykania zegara czy nawet szelestu kartek starych książek i albumów. Dopatrywała się w tych dźwiękach tajemnej mowy miejsca, z którym przez długie lata zdążyła się już zaprzyjaźnić i poznać jego humory.

Wiedziała, że niektórzy starzy ludzie miewają nawyk mówienia do siebie. Pani Johansen nigdy tego nie rozumiała, ponieważ sama już wiele lat temu uznała, że powiedziała niemal wszystko, co miała do powiedzenia, i od tamtej pory postanowiła przede wszystkim słuchać. Słuchała więc swojego mieszkania, które okazywało się bardzo wdzięcznym, choć może niezbyt porywającym mówcą. Z biegiem lat jego szmerliwe mamrotanie stało się wręcz przezroczyście dla uszu pani Johansen. Podobnie jak jego właścicielka, nie miało już wiele więcej do zakomunikowania, choć w przeciwieństwie do niej nie zamilkło, tylko każdego dnia sennie wybrzmiewało tymi samymi odgłosami.

Tym razem jednak było inaczej – mieszkanie miało jej coś bardzo ważnego do powiedzenia. Na tyle ważnego, że zdecydowało się zbudzić ją ze snu.

Do środka dostał się ktoś obcy.

Pani Johansen od wielu lat mieszkała sama. Tylko ona posiadała klucze do drzwi wejściowych, choć rzadko kiedy zamykała się na cztery spusty. Okolica była spokojna, a sąsiedzi uprzejmi i porządni, nie było więc sensu ryglować się za każdym razem i częstokroć zapominała zamknąć drzwi na noc. Podniosła się z łóżka i rzuciła okiem na zegar. Była wczesna pora, tuż przed świtem, kiedy niebo przybiera barwę przybrudzonego granatu. Kobieta wstała, nasunęła na nogi kapcie i ruszyła w stronę salonu. Nie bała się, ale wychodząc, sięgnęła po pogrzebacz, który trzymała w sypialni, od kiedy okno naprzeciw jej łóżka przestało się domykać i potrzebowało podpórki. Już dawno miała wezwać kogoś do na-

prawy, ale z różnych względów cały czas to odkładała. Zaciskając dłoń na pogrzebacz, zaczęła ostrożnie iść do salonu – mieszkanie cichym skrzypieniem desek w podłodze podpowiedziało jej, gdzie przebywa intruz.

Ostrożnie zajrzała do środka. Znajdował się tam młody mężczyzna w długim czarnym płaszczu. Wspierał się na lasce, na jego głowie zaś tkwił cylinder. Nie wyglądał on na włamywacza – chyba że na bardzo eleganckiego. Zdawał się nie zwracać uwagi na nieliczne cenne przedmioty w swoim zasięgu. Nieznajomy przyglądał się natomiast powieszonemu na ścianie malowidłu. Wydawał się poznawać obraz, na jego twarzy błąkał się uśmiech. Tak jakby malunek przypominał mu o czymś przyjemnym. O czymś, co porzucił dawno temu, a do czego skrycie tęsknił.

Pani Johansen opuściła pogrzebacz. Rozpoznała obcego.

– Wystraszył mnie panicz – powiedziała głośno.

Intruz drgnął i odwrócił się.

– Przepraszam – odparł, uśmiechając się.

Pani Johansen odwzajemniła uśmiech. Bardzo dobrze znała jego właściciela.

– Wolałbym, żeby moja obecność tutaj nie została odkryta przez nikogo, stąd tak wczesna pora i tak niespodziewane wtargnięcie.

– Rozumiem. – Pokiwała głową. Oczywiście, teraz wszystko stało się już dla niej jasne. – Domyślam się też, co tu panicza sprowadza. Szczerze powiedziawszy, po ostatnich wydarzeniach spodziewałam się, że już panicza nie zobaczę.

– Wiele się wydarzyło – zgodził się przybysz. – Ale staram się zawsze dotrzymywać słowa. A równo rok temu coś pani obiecałem. Dopiero teraz różne sprawy uspokoiły się na tyle, bym mógł bez wielkiego ryzyka przybyć do miasteczka i wywiązać się z danego przyrzeczenia. Nie byłbym sobą, gdybym tego nie zrobił.

– To prawda. – Pani Johansen podeszła do młodzieńca. – Nie byłbyś, młody człowieku. Usiądź. Zrobię nam herbaty, a ty pochwalisz mi się swoim odkryciem. Bo nie wątpię, że to właśnie ono sprowadza cię do mnie.

Mężczyzna skinął głową i usiadł w fotelu. Dopiero teraz zdjął z głowy cylinder, ostrożnie kładąc go na kolanach. Kiedy pani Johansen wróciła z dwiema filiżankami i usiadła naprzeciwko niego, zaczął opowiadać.

Rozdział I

Przybysz

*Zima – Doktor? – Z wizytą u mera – Zajazd pani Cirque –
Prawdziwa sztuka zawsze się obroni – Teatr – Dyrektor
Victor Caillou*

Kiedy minął ósmy miesiąc, krótkie, ciepłe lato musiało w końcu ustąpić białemu puchowi, który niemal z dnia na dzień zawładnął miasteczkiem Vadeline. Mieszkańcy byli przygotowani na taki stan rzeczy, Biała Królowa nigdy nie pozwalała na zbyt długie panoszenie się lata na ziemiach, którymi władała. Tak było od zawsze. A przynajmniej od tak wielu lat, że nikt żyjący nie przypominał sobie, by działo się inaczej.

Czasem jednak lodowaty północny wiatr przynosi ze sobą coś więcej niż tylko ciężkie, wypełnione śniegiem chmury. Czasem wraz z pierwszymi płatkami śniegu nadchodzą zmiany, ale o tym nikt już nie pamiętał. Może tylko najstarsi mieszkańcy, tęsknymi oczami wpatrujący się w osnuty bielą horyzont.

Młody mężczyzna, który przybył do miasta wraz z ostatnim patrolem Białej Armii, uśmiechnął się spod runda cylindra. Zamienił kilka słów z kapitanem, który wskazał mu drogę. Jeden z żołnierzy pomógł mu wypakować bagaże z olbrzymich sań oznaczonych godłem Białej Królowej.

– Proszę na siebie uważać – ostrzegł go wojskowy. – Nie jesteśmy w stolicy ani na cywilizowanych terenach Północnej Marchii. Na traktach bywa hazardownie nawet w środku dnia. Samo miasteczko jest jednak dość bezpieczne.

– Potrafię o siebie zadbać – odparł młody elegant. Skinął głową kapitanowi, ujął walizkę i ruszył w stronę śródmieścia.

– Na Zimę... – westchnął pod nosem żołnierz, po czym machnął ręką i zostawił przybysza samego.

„Na Zimę” – nieznajomy uśmiechnął się lekko. Dawno nie słyszał tego powiedzenia. W stolicy mało kto klął się na Zimę, wzywał Zimę nadaremno albo przed Zimą przysięgał. Tego typu powiedzenia uznawane były za przejaw prowincjonalizmu.

Vadeline było typowym miasteczkiem zagubionym gdzieś w śniegach świata Zimy, gdzie wieści dochodziły z wielotygodniowym opóźnieniem, a życie toczyło się spokojnym, leniwym tempem. Mieszkańcy nie interesowali się polityką, zamieszki czy niepokoje były rzadkością. Ważniejsze było utrzymywanie lodowych wilków z dala od granic miasta, gromadzenie zapasów podczas intensywnego lata i plotki – sól nadająca choć trochę smaku monotonnemu życiu.

Młody mężczyzna przyjaźnie skinął głową pierwszemu napotkanemu tubylcowi, który uzbrojony w szeroką blaszaną szufłę pracowicie odśnieżał podwórko przed wysokim budynkiem. Mieszkaniec miasta odwzajemnił gest, wesoło machając młodemu mężczyźnie.

– Mrozy jak zwykle nas zaskoczyły! – zawołał na powitanie, odstawiając łopatę i wyciągając dłoń do przybysza. – Niby przychodzą rok w rok, a człowiek zapomina o nich, jak tylko śnieg schodzi z ulic na wiosnę. A potem się dziwi, jak z dnia na dzień wszystko leży pod białą pierzyną.

Krępy mężczyzna w średnim wieku z imponującym wąsem miał bardzo przyjemny, niski ton głosu.

– To z powodu orbity, po której krąży planeta – powiedział przybysz. – Niegdyś ten świat obracał się wokół innego Słońca, jednak za którymś razem zbyt blisko do niego zbliżył i został przez nie przejęty. To dlatego mamy takie długie zimy.

– O, panicz, widzę, uczony. Doktor może?

Z jakiegoś powodu to pytanie zdawało się niesłychanie rozbawić nieznanego.

– Nie, żaden doktor. Jestem ze stolicy.

– Poza patrolami z hrabstwa rzadko miewamy gości. Ma się pan gdzie zatrzymać?

– Jestem tu w sprawie urzędowej. Myślałem, że mer udzieli mi gościny.

– Stary Enderby? – Starszy mężczyzna prychnął pogardliwie. – Proszę na to nie liczyć. Ten drań prędzej zje własne buty, niż przyjmie kogoś pod swój dach. Sknera, jakich mało. Rozmawiał pan już z nim?

– Właśnie do niego idę.

– Gdy już pana wyrzuci, proszę przyjść do zajazdu mojej żony. Nazywam się Bowen Cirque. Co prawda nasz interes nie został oficjalnie otwarty, ale Sally na pewno coś dla pana przygotuje. Niedługo zaroi się tu od przybyszów.

– Prawda, kopalnia. – Przybysz skinął głową. – Dwa dni drogi stąd natrafiono na bogate złoża złota. Królewscy badacze już zajmują się szacowaniem potencjalnych zysków. Najdalej za trzy miesiące Vadeline zmieni się nie do poznania.

– Zakładam, że przyjechał pan tutaj właśnie w tej sprawie?

– Poniekąd. Dziękuję za rozmowę, panie Cirque.

– Nie ma za co, szanowny panie, nie ma za co.

Nieznajomy z uśmiechem pożegnał się z Bowenem i ruszył dalej główną ulicą miasta. Mijani ludzie pozdrawiali go i odpowiadali na jego przyjazne gesty, uprzejmie tłumaczyli, jak dojść do ratusza. Zrozumiał, że trafił idealnie – małe Vadeline było nieskażone odczłowieczeniem położonej głęboko pod lodem stolicy. Tego mu było trzeba, ostatni pobyt na Północy trwał zdecydowanie zbyt długo, a awanturnicza natura nie pozwalała usiedzieć w jednym miejscu. Wciągnął w nozdrza lodowate, orzeźwiające powietrze, zdjął z głowy cylinder, po czym przekroczył próg okazałego budynku ratusza.

Siedzący przy biurku starzec wyglądał niczym drapieżny ptak – haczykowany nos, na którym widniały binokle, i koścista budowa ciała jedynie potęgowały to wrażenie. Stary człowiek był niepodzielnym panem

tego pomieszczenia, królestwa papierów, szaf, biurk i dogorywających na porozstawianych tu i ówdzie kagankach świeczek. Gdy przybysz wkroczył do środka, usłyszał tylko gardłowe, karcące: „Drzwi!”, które wydo- było się z gardła starca. Posłusznie zamknął je za sobą, po czym różnym krokiem podszedł do biurka, przy któ- rym gniazdował starzec.

– Pan Enderby, jak mniemam?

– Na gorze – skrzeknął zapytany, końcem pióra wskazu- jąc schody. Odrobina atramentu kapnęła na podłogę. – Nie przeszkadzać!

Nieznajomy uśmiechnął się ciepło do starca, który w odpowiedzi tylko prychnął, kaszlnął i poprawił oku- lary, które zjechały mu na sam czubek nosa. Przybysz ruszył schodami na górę.

Vladimir Enderby nienawidził nieprzewidzianych sytuacji, a przyjazd tego młokosa ze stolicy zwiastował całą ich lawinę. Dwudziestokilkuletni mężczyzna, który właśnie przekroczył próg jego biura, nosił się na mo- dłę północnych dżentelmenów. Cylinder, długi czarny płaszcz, szaro-czarny szalik i nieodłączna laska elegan- ta, w której niechybnie kryła się pretensjonalna szpada. Wbrew modzie miał gładko wygoloną twarz, prosty, po- zbawiony ozdób płaszcz i niesforne kędzierzawe włosy.

Cóż jednak wygląd, skoro słowa przybysza znamio- nowały pierwszej wody szaleńca?

– Teatr? – powtórzył mer powoli. – Wybacz pan, panie...?

– Victor Caillou, do usług – przedstawił się mło- dzieniec.

– Wybacz pan, panie Caillou, ale nie rozumiem.

– Sprawa jest jasna niczym pierwszy śnieg – oświadczył Victor Caillou. – Jak zapewne pan wie, już niedługo Vadeline zaroi się od poszukiwaczy złota, potentatów i magnatów handlowych. Wielu z nich zatrzyma się w tym mieście, by doglądać swoich interesów, a nie będą to zwykli prostaczkowie, może mi pan wierzyć. O nie – większość z tych ludzi to poważni mecenas sztuki, koneserzy, ludzie o wysmakowanym guście. Co Vadeline może im zapewnić? Karcznię? Dom schadzek? Proszę mnie nie rozśmieszać. I tu, drogi panie, do akcji wkraczam ja.

Entuzjazm Victora jakoś nie chciał się udzielić merowi. Enderby przeszył młodzieńca podejrzliwym spojrzeniem.

– Mam uwierzyć, że przebył pan tak długą drogę jedynie po to, by założyć teatr w Vadeline?

– To oczywiście byłoby niemądre, czyż nie? – Victor uśmiechnął się lekko. – Chylę czoła przed pańską przenikliwością, nie dziwota, że jest pan merem tego wspaniałego miasteczka. Owszem, mam pewne osobiste motywy.

– Jakie, jeśli wolno wiedzieć?

– Mogę usiąść?

– Proszę.

Victor podsunął sobie krzesło i zajął miejsce naprzeciwko Enderby'ego.

– Jestem świeżo upieczonym absolwentem Akademii Pięciu Sztuk, gdzie przez długie lata zgłębiałem arkana teatrologii. Nie wchodząc w szczegóły – niemożebnie

zaintrygowały mnie kunsztowne sztuki napisane przez niedocenionego geniusza, Samuela Zimmermana. Ta wyobraźnia! Te emocje! Ten polot! Ta werwa! *Kto zabił Amandę P.?, Mur, Alicja, Piaskowy Człowiek* bez reszty ovladnęły moją wyobraźnię. Z zapalem przystąpiłem do badań nad tą niezwykłą personą, o której milczy większość roczników i monografii. W przepastnych archiwach Akademii z trudem odnalazłem kilka listów autora sugerujących, jakoby urodził się i wychował właśnie w Vadeline, niejednokrotnie zresztą powracając do swojego rodzinnego miasteczka. Dlatego właśnie przyjechałem tutaj – by odnaleźć zaginione sztuki Zimmermana, o których mistrz wzmiankował w swoich epistołach. – Victor sięgnął do kieszeni płaszcza i wydobyl z niej zapieczetowaną kopertę. – To listy uwierzytelniające od murgrabiego z Południowej Marchii, który także interesuje się twórczością Zimmermana. Gdy usłyszał o moich planach, bez wahania udzielił mi poparcia.

Enderby rozerwał kopertę i znudzonym wzrokiem prześledził treść listu.

– Rozumie pan zapewne, że ze swojej strony nie mogę udzielić panu żadnego wsparcia finansowego?

– Proszę tylko o stary budynek teatru, który ponoć popadł w ruinę jakiś czas temu – powiedział Victor. – Dysponuję funduszami na jego remont i wyposażenie.

– Teraz znajdują się tam magazyny.

– Och, z pewnością wspólnie uda nam się rozwiązać ten problem.

Mer westchnął ciężko. Zrozumiał, że nie odeśle tego dziwaka z kwitkiem. Pełen zapалу i entuzjazmu młodzie-

niec nie przypominał rzeczowych, ponurych urzędników z Północy, z którymi Enderby miewał już do czynienia i z którymi potrafił rozmawiać.

– Mam wiele pracy – oznajmił. – Poproszę Jakuba, mojego sekretarza, o spisanie wszelkich niezbędnych dokumentów. Dostarczę je panu jak najszybciej. Gdzie się pan zatrzymał?

– Liczyłem na pańską gościnność...

– Nie mam wolnych pokoi – wtrącił szybko Enderby.

– ...jednak pan Cirque zaproponował mi, bym zatrzymał się w zajeździe jego żony. Byłby pan tak uprzejmy i wskazał mi drogę?

– Tak, oczywiście – powiedział mer w wyraźną ulgą w głosie. – Po wyjściu z ratusza proszę skrócić w prawo, następnie iść cały czas prosto, aż dojdzie pan do zegarmistrza. Za jego sklepem znajduje się promenada, skąd bez trudu dostrzeże pan duży budynek z zielonym dachem. To właśnie zajazd Sally Cirque. Zapamięta pan?

– Oczywiście. – Victor wstał. – Cieszę się, że tu przyjechałem. Mam nadzieję, że mój pobyt w Vadeline nie sprawi panu żadnych problemów.

– Także mam taką nadzieję. Jeszcze jedno pytanie, jeśli wolno.

Victor, który już miał wychodzić, zamarł z dłonią na kłamce i odwrócił się.

– Tak?

Enderby pochylił się nad biurkiem.

– Mówi pan, że przyjechał ze stolicy.

– Zgadza się.

– Skąd zatem ma pan listy uwierzytelniające opatrzone pieczęcią murgrabiego Południowej Marchii?

– Och, tę zagadkę akurat bardzo łatwo wyjaśnić. Murgrabia gościł na dworze Białej Królowej, gdzie zresztą się poznaliśmy. Korzystając z okazji, że podziela moje zainteresowania, poprosiłem go o protekcję i mecenat. Czy takie wyjaśnienie pana satysfakcjonuje?

– Jak najbardziej – oświadczył mer, choć w myślach dodał: „Kłamiesz. Na tak szczerej twarzy łgarstwo widać wyraźnie jak mroźne malunki na szkle. I dlatego ci nie ufam, panie Victorze Caillou. Nie ufam ci ani trochę. I będę cię miał na oku”.

– Zatem żegnam. Życzę miłego dnia.

Gdy Victor wyszedł z jego biura, Enderby wyciągnął się na krześle, które zatrzeszczało ostrzegawczo. Przypomniał sobie plotki o ludziach z Południa, tych śniadych, ciemnookich buntownikach, którzy cieszą się latem przez niemal pół roku. Tych, którzy nigdy do końca nie ugięli się pod rządami Białej Królowej, traktując ją jedynie jak tymczasowego władcę. A przecież to Jej Wysokość wydobyła ludzi z mroków barbarzyństwa, dając im wieczną opiekę. Owszem, słyszało się czasem o niepokornych miastach, które z dnia na dzień znikały pod śniegiem, by na wiosenne roztopy obrodzić zamrożonymi zwłokami – Królowa nie tolerowała buntowników. Mimo wszystko jej władza gwarantowała pewną stabilność, przynajmniej na Północy.

Ten cały Victor Caillou był jakiś dziwny. Miał niewłaściwy akcent – jakby często podróżował, przez co jego mowa nabrała rozmaitych, nakładających się na

siebie, naleciałości. Był obcy, jak ci dziwni Południowcy, z których najczęściej rekrutowali się bandyci i rebelianci.

Enderby westchnął. Kiedyś wszystko było łatwiejsze. Na razie zachowa swoje podejrzenia dla siebie, nie zapomni o nich, o nie. Może ten cały Caillou jest tylko zapalonym miłośnikiem sztuki... Może. Ale rozsądniej będzie zlecić Jakubowi sporządzenie listu do murgrabiego Południowej Marchii z zapytaniem, czy aby na pewno ów młodzieniec jest tym, za kogo się podaje. Pieczęć, jaka widniała na listach, wydawała się autentyczna, podpis zresztą też, ale mimo to...

Mer ponownie westchnął. To przez tę zimą, pomyślał. Człowiek głupiej od mrozu i braku słońca. I od wódki. Żona od dawna mówiła mu, że nie powinien tyle pić.

Sally Cirque okazała się szczupłą, wysoką kobietą o wystających kościach policzkowych i jasnych włosach upiętych w wysoki kok, której cała postać zdawała się emanować despotyzmem. Było to jednak tylko złudzenie – pani Cirque, jak kazała się nazywać, mogła wydawać się twarda, zdecydowana, lecz kiedy dowiedziała się o celu wizyty Victora, na jej ustach zatańczył dziewczęcy niemal uśmiech.

– Teatr! Cóż za znakomity pomysł! – oświadczyła. – Wie pan, jak byłam młodsza, uwielbiałam chodzić na spektakle. Wielka szkoda, że teatr zamknięto, nim jeszcze wyszłam za mąż.

– Dlaczego tak się stało?

– Oczywiście chodziło o pieniądze. Pracowała tam jedynie garstka zapaleńców, którzy imali się dorywczych zajęć, byle tylko utrzymać siebie i budynek. Kiedy dyrektor teatru wyjechał do stolicy, grupa się rozpadła, a miasto przejęło nieruchomość. Jakby to powiedział mój mąż, ten interes nigdy nie generował zysków. Musi pan być na to przygotowany, skoro zamierza pan odbudować teatr.

– Proszę się nie obawiać. – Victor uśmiechnął się. – Prawdziwa sztuka zawsze się obroni. Liczę na przyjezdnych, pani chyba zresztą też?

– Owszem. – Pani Cirque skinęła głową. – Na razie pokoje świecą pustkami, a wszystko jest jeszcze powi-jakach. Dobrze, że Bowen w porę powiedział mi o pańskim przyjeździe, zdążyłam przygotować jeden pokój. Obawiam się, że nie będzie pan tu miał luksusów, do których nawykł w stolicy.

– Kilka ostatnich dni spędziłem wciśnięty pomiędzy pakunki z żywnością, które patrol wiózł do garnizonu. W porównaniu z tym nawet najskromniejsze lokum będzie dla mnie niczym królewski apartament.

Pokój okazał się przytulnym pomieszczeniem wyposażonym w łóżko, stół, dwa krzesła, szafę i kufer. Okno było dobrze uszczelnione, mróz nie miał więc dostępu do środka.

– Do kolacji zostało jeszcze kilka godzin – powiedziała pani Cirque, podczas gdy jej syn, pucułowaty blondyn imieniem Ray, zajmował się przenoszeniem bagaży gościa. – Jeśli jest pan głodny, mogę coś ugotować...

– Poczekam – uspokoił ją Victor. – Chciałbym jak najprędzej obejrzeć teatr, w którym debiutował mistrz Zimmerman.

– Samuel Zimmerman? – zapytała pani Cirque. – Znał pan Samuela Zimmermana?

– Niestety nie osobiście. Przyjechałem tu, by odnaleźć jego zaginione sztuki.

– Pamiętam go. – Przymknęła oczy. – Zawsze wcielał się w postaci naiwnych młodzieńców, jak Tristan z *Kto zabił Amandę P?* czy Derek z *Błękitnych oczu*. Gdy pojawiał się na scenie, każda dziewczyna oddała by duszę, by być Amandą albo Mauren...

– Czy Zimmerman ma tu jakąś rodzinę? – zapytał Victor. – To by bardzo ułatwiło moje zadanie.

– Nie sędzę. Miał ojca i siostrę. Matka zmarła wiele lat temu, pamiętam ją, dziwna kobieta z niej była... ale jakiś czas po tym, jak wyjechał... Cóż, zabrała ich Zima.

– Rozumiem. – Przybysz kiwnął głową. Ludzie czasem znikali. Czasem ginęli ci, którzy zbyt głośno gardłowali przeciwko władzy, czasem niewinne dzieci rodziców, których wierność wobec Królowej nie była całkowita. Zdarzało się, że ludzie ginęli tylko dlatego, że znaleźli się w niewłaściwym miejscu, o niewłaściwej porze. Zabierała ich Zima. Ale o tym się nie mówiło.

– To się zwykle tutaj nie dzieje – dodała szybko pani Cirque. – Jesteśmy za daleko od stolicy, poza lodowymi wilkami nie ma w okolicach Vadeline żadnych dzieci Białej Królowej.

– Wiem – powiedział Victor. – Między innymi dlatego tu jestem. Stolica to zimna, nieczuła aglomeracja.

Ale tutaj na peryferiach wciąż tętni życie! To coś wspa-
niałego.

– Przesadza pan...

– Bynajmniej. Teraz dostrzegam, że geniusz Zim-
mermana mógł się rozwinąć tylko tutaj, z dala od skost-
niałej rzeczywistości północy. Dołożę wszelkich starań,
by przywrócić teatrowi Samuela Zimmermana dawny
blask.

– Cóż za entuzjazm. – Pani Cirque uśmiechnęła się
szeroko. – Nie pozostaje mi nic innego, jak przyklasnąć
temu pomysłowi i wspomóc pana w miarę możliwości.
Ray zaprowadzi pana do budynku teatru, prawda, Ray?

Chłopiec, który skończył już przenosić pakunki, z za-
palem pokiwał głową. Mógł mieć nie więcej niż czter-
naście lat, okrągłą twarz odziedziczył po ojcu.

– Oczywiście.

– Chodźmy zatem. – Victor zatarł dłonie.

Kiedy kilka minut później podążali odśnieżoną alejką,
Ray raz po raz zerkał z ciekawością na przybysza. Victor
uśmiechnął się pod nosem.

– Ciekawi cię moja osoba, ale wstydzisz się spytać?
Nie obawiaj się, młody człowieku, nie gryzę. Przynaj-
mniej nie tych, którzy mi nie zagrażają.

Zawstydzony chłopiec opuścił głowę.

– To znaczy... – wyjąkał – ...pan pochodzi ze stolicy,
prawda?

– Stamtąd przyjechałem, owszem.

– Jak tam jest?

Victor zamyslił się.

– Wyobraź sobie olbrzymią plątaninę wydrążonych w lodzie i skale tuneli, z wielkimi komnatami zamiast promenad i jamami w miejsce domów. W samym środku stolicy znajduje się kuty w lodzie zamek Białej Królowej, skąd rządzi ona całym światem. Taka jest właśnie stolica Zimy.

– Musi tam być wspaniale – wyszeptał oczarowany Ray. Caillou pokręcił głową.

– Nie oceniaj pochopnie. Owszem, obywatele miasta opływają w dostatki, ale rzadko kiedy wychodzą na powierzchnię. Są tam dzieci starsze od ciebie, które nigdy nie widziały słońca. Moc Królowej trzyma to miejsce w całości, mimo setek pochodni i pieców. Lodu, który posłużył do budowy stolicy, nie skruszy nawet największy ogień. Pomyśl zatem, czy chciałbyś mieszkać w takim miejscu?

– Chciałbym je zobaczyć – oznajmił chłopiec po krótkiej chwili namysłu. – I nie tylko. Chciałbym zobaczyć morze na Południu, wielkie kudłate potwory, które mieszkają na wschodzie, i w ogóle cały świat.

Victor pokiwał głową z aprobatą.

– Piękne marzenia – oznajmił. – Może pewnego dnia uda ci się je zrealizować.

– Nie wiem, pewnie nie. – Ray stropił się. – Ojciec przysposabia mnie do tego, bym kiedyś zajął jego miejsce jako zwierzchnik łowców lodowych wilków. Bez przerwy o tym rozprawia.

– Twój ojciec zajmuje się polowaniem na wilki? – zainteresował się Victor.

– Kiedyś to robił. Dziś siedzi tylko w papierach i jeździ na spotkania z kupcami. Nie pamiętam, kiedy ostatnio wypuścił się na polowanie. Teraz ma od tego ludzi.

– Rozumiem – powiedział przybysz. – Oto i teatr.

Stanął przed dużym, zdewastowanym, lecz wciąż dobrze trzymającym się budynkiem. Nad wejściem widniały pozostałości szyldu, drzwi broniła przerdzewiała kłódka.

– Jak dostaniemy się do środka? – zapytał Ray, szarpiąc za klamkę.

– Miałem nadzieję, że ty mi to powiesz – oznajmił teatrolog z rozbijającym uśmiechem.

Chłopiec odwrócił się.

– To znaczy, że nie ma pan klucza?

Victor podszedł do drzwi.

– Burmistrz wspominał, że w budynku mieszczą się teraz magazyny. Wiesz może, kto za nie odpowiada?

Chłopiec przecząco pokręcił głową.

– No cóż – westchnął mężczyzna. – A zatem zrobimy to łatwiejszym sposobem. – I z rozmachem wbił uzbrojoną w szpic końcówkę swej laski pomiędzy ogniwa łańcucha. – Ha! – krzyknął z satysfakcją, gdy kłódka uderzyła o ziemię. – Ot i problem z głowy. – Obejrzał się na zaszokowanego chłopca. – Paniczu Cirque, panicz przodem – rzekł z kurtuazją, uchylając drzwi.

– Włamał się pan do magazynu – wyjąkał chłopiec.

Victor westchnął.

– Nim pobiegiesz po konstabla, muszę cię uprzedzić, że mam pozwolenie mera na korzystanie z tego budynku i od teraz ja trzymam nad nim pieczę. Jeśli nie chcesz wchodzić, możesz zaczekać na zewnątrz. To jak?

Po chwili wahania Ray wszedł do budynku. Wszystkie jego wyobrażenia o wyniosłym elegancie z bogatej Północy legły w gruzach. Panicz Caillou okazał się postacią barwną niczym wędrowny magik i nieprzewidywalną jak wiosenna pogoda.

Victor ze smutkiem omiół skryte w półmroku wnętrzu teatru. Drewniane skrzynie, owinięte szarym papierem pakunki, obwiązane sznurami paczki niepodzielnie rządziły sceną i większą częścią widowni. Kalekie, powrywane ze swoich miejsc krzesła leżały spiętrzone pod jedną ze ścian. Tłusty kurz oblepiał dosłownie wszystko, dach trzeszczał w rytm uderzeń wiatru. Caillou przecisnął się pomiędzy dwiema największymi skrzyniami i ruszył w stronę podwyższenia. Wspiął się na scenę i stanął na środku.

– *Ile dni przebyć musi wiatr, by odnaleźć miejsce swych narodzin?* – wydeklamował. – *Ile przeżyć musi każdy z nas, by dotrzeć do ostatniej z godzin?*

Ray zaklaskał nieśmiało. Dźwięk uderzających o siebie dłoni zabrzmiał w tym opuszczonym pomieszczeniu jak pierwsze krople letniego deszczu.

– Czeka mnie dużo pracy – oznajmił Victor. – Bardzo dużo pracy.

Zniknął za kulisami. Ray podążył za nim.

Mężczyzna odnalazł starą świecę ustawioną na mosiężnym kaganku. Błysnęła iskra z krzesiwa i wątył języczek ognia zajaśniał w ciemności. Pomieszczenia za sceną były ogołoczone ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość, po podłodze wały się spłowiałe strzępy tkanin, elementy dekoracji, kilka wyblakłych cekinów

znaczyło podłogę. Przybysz schylił się i podniósł z podłogi poszarzałą kartonową maskę.

– Twarz Jacka. – Uśmiechnął się. Przyłożył ją do swego oblicza i zniemacka odwrócił się w stronę towarzyszącego mu chłopca. – *Gotuj się na śmierć, Amando! To już koniec twojej przygody z życiem!* – zawołał z komiczną emfazą w głosie, wywijając laską niczym szpadą.

Ray roześmiał się.

– Powinniśmy już wracać – powiedział. – Ściemnia się, a mama bardzo nie lubi, gdy kolacja stygnie.

– Jeszcze moment... – Victor odłożył maskę na jeden z wszechobecnych pakunków i podążył w głąb pomieszczenia. – Aha! – zawołał z satysfakcją. – Są i schody na piętro. Nim odejdziemy, muszę znaleźć biuro dyrektora. Za mną! – Tupiąc i skrzypiąc rozchwianymi stopniami, wbiegł na piętro. Rozejrzał się po ciasnym korytarzu. Zaczął na chybił trafił otwierać kolejne drzwi. Za każdym razem witało go zagracone pomieszczenie. W końcu jednak odnalazł to, czego szukał. Dopadł do obdrapanego sekretarzyka i zaczął gorączkowo przeszukiwać szuflady i szafki. W końcu z jednej z nich wydobyl narzędzie schludnych, choć nadgryzionych zębem czasu i wilgocią teczek. – A oto i skarb! – oświadczył Rayowi, który właśnie stanął w drzwiach. – Czy też raczej, by nie skłamać, mapa do skarbu. Jeśli moja wybitna intuicja mnie nie myli, a robi to niezmiernie rzadko, to wśród tych papierów odnajdziemy coś wartościowego. Chodźmy zatem. – Troskliwie umieścił teczki pod pachą. – Kiszki grają mi marsza, a nie wątpię, że twoja mama potrafi wyśmienicie gotować. Idziemy?

Chłopiec z uśmiechem skinął głową.

– Nie myślałem, że jest pan... taki – oświadczył, gdy znaleźli się na zewnątrz.

– Jaki? – zainteresował się Victor.

– To znaczy, tata raz czy dwa spotykał się z ludźmi z Północy. Nie są do pana podobni.

– Ach, urzędnicy i ludzie interesu. – Przybysz nie skrywał pogardliwego tonu. – Nie znają niczego prócz długich kolumn cyfr. Ale to prawda, mieszkańcy stolicy są zwykle zimni, jak lód, który otacza ich od urodzenia.

Śmiejąc się i dowcipkując, opuścili budynek. Victor prowizorycznie obwiązał pozostałościami łańcucha skrzydła drzwi wejściowych.

– Miejmy nadzieję, że do jutra to wystarczy – oznajmił. Zamyślił się. – Będę musiał znaleźć cieślę, który doprowadzi teatr do stanu używalności, krawcową do uszycia kostiumów, no i kogoś, kto pozbędzie się wszystkich tych śmieci z magazynu... – Pozornie zwracał się do Raya, widać jednak było, że jedynie rozmyśla na głos, jak niekiedy czynią to roztargnieni ludzie. – Zajrzałem do paru skrzyń, to zwykły śmietnik pełen rzeczy, których nie wypada wyrzucać, choć nie są potrzebne już do niczego... Przejrzę je, możliwe, że coś stamtąd przyda się nam... Tak, na początek to wystarczy. Ray?

– Tak, proszę pana?

Victor skrzywił się.

– Jeśli poproszę cię, byś mówił mi po imieniu, zawstydzisz się i powiesz, że tak się nie godzi, zgadza się? – zapytał, a kiedy chłopiec skinął głową, podjął: – Niech szlag trafi te przeklęte konwenanse! No nic, muszę zatem wymyślić

sobie alias, którym będziesz mógł się do mnie zwracać, bo ciągłego „proszę pana” nie zdzierzę za żadne skarby tego świata. Może Koziorożec, ów bohater popularnych na Północy opowieści awanturnicznych? Co ty na to? Nie, nie... – przerwał sam sobie. – To głupie i infantylne. Niegdyś, będąc na rauszu, przedstawiłem się tak pewnym dwóm uroczym damom, wstyd mnie do dziś nie opuścił... To musi być coś praktycznego i naturalnego, coś, co nie przywołuje na twarz pełnego zażenowania uśmiešku. Pomyślmy... Gdybym miał jakiś godnie brzmiący tytuł naukowy lub wojskowy, nie byłoby problemu, ale zaraz, wszak objąłem ważną funkcję! Jestem dyrektorem teatru, toteż prosiłbym cię, mój młody przyjacielu, byś od chwili obecnej tytułował mnie dyrektorem. Ha! – zakrzyknął z prawdziwą satysfakcją. Zatrzymał się i uklonił Rayowi. – Dyrektor Victor Caillou, do usług.

Chłopiec roześmiał się. Płomień sympatii, którą odczuwał do Victora już od pierwszego spotkania, rozgorzała na dobre wraz z uściśnięciem dłoni. Przybysz był dziwakiem, zabawnym gadułą bez reszty zakochanym w teatrze. Jednak błysk w oku i wykazywana podczas rozmowy bystrość umysłu nie pozwalały uważać go za egzaltowanego marzyciela. Był człowiekiem chodzącym z głową w chmurach, przy tym jednak twardo stąpającym po ziemi.

Kiedy zmarznięci i rozbawieni wrócili do zajazdu, już czekała na nich parująca pieczeń i waza gorącego rosółu.

– Wyborne! – oświadczył Victor, kosztując dania. – Doprawdy, mistrzowie kuchni rodem ze stolicy ustępują pani kunsztem, pani Cirque.

– Przesadza pan. – Kobieta zarumieniła się lekko, ale na jej twarzy pojawił się wyraz dumy. – Proszę lepiej powiedzieć, jak wypadły pierwsze oględziny. Przyznam szczerze, że wątpię, by budynkowi teatru udało się przywrócić dawną świetność.

– Nie ukrywam – Victor przełknął kolejny kęs – jest gorzej, niż sądziłem. Bez generalnego remontu się nie obejdzie. Pozostaje też sprawa tego wysypiska śmieci wewnątrz. Czeka mnie naprawdę dużo pracy – westchnął, ale lekko i z uśmiechem.

Słyszając to, zajęty dotąd posiłkiem Bowen Cirque odchrząknął, otarł usta serwetką i oświadczył:

– Paniczu, jestem wielce ciekaw, jak ma pan zamiar to wprowadzić w ruch i rozkręcić. W tym mieście był już teatr i skończyło się to bankructwem. Nie chcę pana zniechęcać, ale szczerze wątpię, by to się udało. Zbyt wiele rzeczy może się nie udać, jeśli chce panicz znać moje zdanie.

Victor, nim odpowiedział, zmierzył rozmówcę uważnym, lecz zarazem przyjaznym spojrzeniem.

– Ma mnie pan za bogatego paniczyka z Północy, który pod protekcją murgrabiego spełnia swoje bezsensowne zachcianki, zgadza się? Nie, proszę nie zaprzeczać – dodał, widząc, że Bowen otwiera już usta. – To całkowicie zrozumiałe i zdaję sobie sprawę, że nic, co powiem, nie zmieni tego podejścia. Jeszcze się pan przekona, gdy zamiast słów przemówią czyny. – Zamilkł, by przekonać się, czy nie przeszarżował.

Na szczęście okazało się, że dobrze ocenił Bowena, który tylko na pierwszy rzut oka mógł się wydawać pro-

stakiem z pogranicza. Pan Cirque z aprobatą pokiwał głową i uśmiechnął się.

– Zuchwałe, ale szczerze słowa. Może ma pan rację, wstrzymam się z oceną, dopóki nie obejrzę rezultatów.

– Dziękuję. – Victor skinął głową. – A teraz pozwolą państwu, że ich opuszczę. Przed snem czeka mnie jeszcze trochę pracy.

– Chyba się nie obraził? – zapytał Bowen, gdy gość opuścił jadalnię.

– On taki nie jest – uznał Ray, nakładając sobie kolejną porcję. – Myślę, że naprawdę będzie pracował. Gdy byliśmy w teatrze, zabrał stamtąd jakieś papiery.

– Wydaje się raczej miły – powiedziała pani Cirque, zbierając talerze i sztuce. – Trochę dziwak, ale w dobrym tego słowa znaczeniu. Myślę, że jeśli powie mu się z teatrem, może dać naszemu miastu coś naprawdę niezwykłego.

Sally Cirque nie spodziewała się nawet, jak prawdziwe mogą być te słowa.

Zima

Copyright © Michał Ochnik

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Bernadeta Leśniowska-Gustyn

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2017 r.

druk ISBN 978-83-7995-128-4

epub ISBN 978-83-7995-129-1

mobi ISBN 978-83-7995-130-7

Redakcja: Małgorzata Maksymowicz

Korekta: Barbara Kaszubowska

Ilustracja i projekt okładki: Bernadeta Leśniowska-Gustyn

Skład i typografia: Marcin A. Dobkowski | www.proAutor.pl

Redaktor naczelny: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

www.MadBooks.pl

www.eBook.MadBooks.pl